№ 20. Warszawa, dnia 7 (19) Maja 1898 r. Rok XXXIV.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

GRZECHY PEDAGOGICZNE.

STUDYA Z NATURY

przez

Janinę S. Aleksotę

II. Niepohamowane gadulstwo.

Z porządku rzeczy przystępujemy do omówienia drugiego, ważnego grzechu pedagogicznego. Jest on w skutkach niemniej od pierwszego szkodliwy, a na imię mu gadulstwo, nie znające prawie żadnej linii granicznej. Zdaje się, iż w tej mierze możnaby się powołać na wielu, którzy patrzyli na skutki tego wykroczenia przeciw duchowi wychowywania, a częstokroć i na takich, którzy na sobie samych doświadczyli następstw owych „młynów pedagogicznych,“ których niestety i dzisiaj niemało się spotyka. Typ gaduły-pedagoga przeszedł do niejednej naszej i obcej powieści, do monologów, komedyj i t. d. Mimo to wszakże typ ten z obiegu nie wyszedł. Olśniewają się oni własnemi słowami, w które radzi się wsłuchują, jak w najpiękniejszą pieśń Tyrteusza lub Ariona i są święcie przekonani o swem niezrównanem działaniu pedagogicznem, a zarazem częstokroć zrozpaczeni, że mają wychowanków nieużytych, zawadyaków, bezdusznych, na których ich świetne moralizowania i nauki pożądanego nie wywierają wpływu. Trzebaby im dać taką przestrogę, jaką wypisał Petroniusz w liście przedśmiertnym Neronowi w „Quo vadis“ Sienkiewicza:

„Bądź zdrów, lecz nie śpiewaj — zabijaj, lecz nie pisz wierszy, — truj, lecz nie tańcz,—podpalaj, lecz nie graj na cytrze.“ Przestroga ta musiałaby być i zmodyfikowaną i zarazem uwspółcześnioną i brzmiałaby: czyń co chcesz i jak chcesz, tylko na Boga, uspokój się i nie gadaj tak bez ustanku, bo to tylko oczywiste gadanie!

Biorąc zaś na uwagę stosunek takiego pedagoga czy pedagogini, damy tu przykład wcale nie wymyślony (jak w ogóle tego czynić nie będziemy w całym ciągu niniejszych rozprawek, skorośmy w tytule umieścili objaśnienie: „studya z natury.“) Znamy pięcioletnią dziewczynkę, bardzo roztropną, inteligentną, z dużym zapasem moralnym, już jako wyposażenie od natury otrzymanym. Wychowuje ją matka i bardzo się żali na nią, że uparta, niedobra, bez serca, złośnica i t. d. Tymczasem, mojem zdaniem, wady powyższe u tego dziecka, jak gdyby nie istniały. Nie kryłam się wcale z taką opinią o dziewczynce przed matką jej, ale to ją właśnie bardzo ubodło. Domagała się wyjaśnienia, na jakiej podstawie mogę twierdzić o nieistnieniu wad, które ona swej córce przypisywała. Zgodziłam się na to żądanie i obiecałam udowodnić; prosiłam więc, by mi zostawiono wszelką swobodę dowolnego postępowania z dziewczynką. Matka miała być wszystkiego świadkiem.-

Zaczęła się zatem działalność pedagogiczna. Matka narzekała na upór i zaraz mi wykazała, do jakiego stopnia jej „mała“ jest upartą. Kazała jej przynieść z pokoju ręcznik, a sama była w kuchni. Dziewczynka pobiegła natychmiast i wraca z ręcznikiem, a ponieważ pilno jej było doręczyć go matce, więc z pośpiechu nawet drzwi z kuchni do pokoju zostawiła otwarte. Matka zaraz mówi do niej: Halciu, zamknij drzwi. Dziewczynka już się zamierzyła ku drzwiom, gdy matka natychmiast powtarza rozkaz ponownie: Halka, drzwi zamykaj! Dziewczynka stanęła na środku drogi i opuściła głowę, skubiąc coś przy fartuszku. — Halka! —krzyczy matka,—czyś ty słyszała? drzwi zamknij! Co to znowu! Ty niepoczciwa, uparta dziewczyno!—iza raz się do mnie zwraca, mówiąc: — Widzi pani, co za niedobre, szkaradne dziecko!— Patrzę na dziewczynkę i myślę: gdzie ona tam szkaradna! Dziecko śliczne, a przytem co za materyał do wychowywania! I kiedy mała odeszła, powiadam do matki: Pani, ona nie jest upartą, a przynajmniej może nie być upartą, ale to nawet zupełnie nie! Matka patrzy na mnie z taką miną, jak gdyby zaczynała powątpiewać, czy mam wszystko w głowie w należytym porządku, a w końcu mówi: proszę mi dowieść swego twierdzenia. Wołam więc po chwili małą, rzucam umyślnie przy niej na podłogę chusteczkę i mówię: podnieś; mała patrzy na mnie, potem na matkę, podnosi i daje mi, mówiąc przytem z uśmiechem: „masz!“ (Ona do wszystkich mówi „ty.“)

W tem na werandzie mały jej braciszek zaczyna płakać. — Halciu, —powiadam do niej,— weź-no swój wózeczek i zanieś Kaziowi, ażeby go zabawić, niech nie płacze maleństwo.—Dziewczynka nie lubi dawać zabawek swoich bratu, patrzy na mnie i milczy, a nawet wygląda tak, jak gdyby czekała, czy jej nie ponowię rozkazu. Ja zaś myślę sobie: o, nie złapiesz mnie ptaszku! nie powtórzę ja ci rozkazu, bo zaraz uporek się zjawi nieproszony. Po chwilce mała zanosi wózek bratu i powraca do mnie rozpromieniona. — A wiesz, on się ogromnie ucieszył wózkiem.— powiada. Uśmiecham się do niej przyjaźnie, głaszczę jej jasne włosy i mówię: jesteś dobrą siostrą.—Czytam z oczu dziecka, jak mi jest wdzięczne za uznanie, którego spragniona jest ta młodziutka, ambitna dusza, wiecznie zasypywana gradem słusznych i niesłusznych zarzutów. Gdy dziecko odeszło, matka wzrusza ramionami i mówi: to cud jakiś, że posłuchała i że zabawkę dała, ale mnie z pewnością nie posłucha. Proszę ją więc, żeby dziecku poleceń swych i rozkazów nie powtarzała bezustannie, a to dlatego, że dziew-

czynka jest niesłychanie ambitna i to ciągłe prawienie jej kazań i powtarzanie po kilkakroć jednego rozkazu, wyradza u niej chwilowy upór, z zażenowania najbardziej pochodzący. Posłuchała— i w rychłym czasie upór znikł. Toż samo co do innych wad.

Gdy mi matka mówiła o braku serca, po prostu wierzyć nie chciałam. Wzięłam małą na przechadzkę. Idziemy sobie ulicą i rozmawiamy, Wtem nadeszła jakaś kobieta z bosym chłopakiem. Moja mała umilkła, wpatrzyła się w chłopca; a za chwilę wybuchnęła na cały głos płaczem. Przestraszona, zwracam się do niej: co tobie? pytam.—Mnie nic, odpowiada, ale popatrz, dziecinka idzie bosa przez ulicę! Ja dam swoje buciki. — I od zamiaru tego odstąpić nie chciała. Musiałam jej dopiero wytłómaczyć, że chłopak ten ma w domu buciki, a ponieważ lubi chodzić boso, więc sobie tak po ulicy chodzi.

Po powrocie opowiadam to matce i zapytuję, czy to zdradza brak serca? Matka mi na to mówi: wszystko to bardzo pięknie, ale kiedy ja jej mówię, żem cierpiąca, że mnie głowa boli, to jej nie wzrusza, śmieje się i bawi swobodnie. Tłómaczę więc matce, że dziecko tego bólu widocznie nie rozumie i że utyskiwanie częste na jakieś cierpienie nie wzrusza go. Zresztą energia wrodzona wielu jednostkom, nie znosi utyskiwania, narzekania, ztąd też, gdy się z niemi spotka, nie współczuje tak, jak w wypadkach wprost przeciwnych, t. j. gdzie widzi rzeczywiste, znaczne cierpienie, a nie słyszy żadnej skargi. Nie wiem, czy mnie ta matka, kobieta dość nieudolna i miałkiego rozumu, zrozumiała, ale to wiem, że sobie zawsze życzyłam mieć podobne do jej córki jednostki do wychowywania Była tam wrodzona duża ambicya, wielka inteligencya, serce szlachetne, umysł bardzo refleksyjny,—wszystkie te dane wszakże, zamiast być rozwijanemi, zostawały nieumiejętną dłonią wypaczane. Pedagog-gaduła jest zawsze tak dalece zajęty sobą i tem co mówi, że prawie nie zwraca uwagi na dziecko i na tę okoliczność, czy się wychowankowi należą owe przestrogi jego, czy też nie. Moralizowanie zresztą nie jest żadnym środkiem pedagogicznym — i jak w ogóle nigdy nic dobrego nie przynosi, tak w szczególności w stosunku do wychowanków.

Słusznie twierdzi Narcyza Żmichowska, jedna z najznakomitszych naszych pedagogiń-filozofek: „Spóźnione morały zalewają goryczą serce i nikogo nie poprawiają.“ Patrząc na moralizującego nieraz godzinami całemi pedagoga, mimowoli przychodzi na myśl słuszna i bardzo utarta zasada, powszechnie znana, że małomówności uczymy się od gadatliwych, a gadulstwa od milczących. W obec hałasu, krzyku, tartasu, rozgadania się czyjegoś, milknie każda szlachetniejsza natura i zasłania się swoją własną rozwagą i rozumem, jak w obec deszczu i gradu zasłaniamy się zwyczajnie parasolem. A wreszcie sypanie nauk jak z rękawa nikogo nie pociąga, a raczej odstrasza. Gadulstwo takie, nie znające miary, jest w stanie obrzydzić samą nawet cnotę tem właśnie, że nas tak dręczy czczem o niej brzęczeniem. Wychowawca musi mieć zawsze to na pamięci, że dzieciom czy młodzieży poruczonej nie należy zatruwać ich dni wiosennych, a całem postępowaniem swojem pociągać wychowanków ku sobie i ku ideałom, które im wskazuje, a nie zrażać ich do dobrego celu.

Częstokroć jednakże sprawdza się w praktyce to, co któryś z myślicieli powiedział, że „miłość bliźniego jest bardzo łatwą—na pustyni.“ A przecież działalność pedagogiczna ma być tej miłości najwspanialszym rozkwitem, inaczej bowiem może się stać taki wypadek, że zamiast zaprowadzić wychowanka do mety, u której kładziemy dlań słońce szczęścia, dobra, piękna, zawiedziemy je do płomieni zniszczenia, zguby i szału. Wciąż powtarzamy, z Mickiewiczem: „miej serce i patrzaj w serce“ — i rzecby można, że to jest nawet motto całego katechizmu wychowawczego, a przecież jakże niewielu wychowawców zastosowuje tę świetną zasadę w praktyce; tymczasem jest to rzecz niezbędna.

Chłodny gaduła zniechęci do siebie i do niczego dobrego nie doprowadzi; sercem ogarniający młodzież wychowawca jest zawsze naturą głębszą, wglądającą w głąb duszy młodzieży, uwzględniający indywidualność, chwytający wychowanków i za rękę i ze serce i prowadzący do celu raz rozumnie wytkniętego. Gaduła zasusza mózgi i serca wychowanka; konsekwentny, głęboko myślący i przywiązany do młodzieży wychowawca budzi życie, zapał, szlachetne uczucia, energię, słowem na wartkiej fali uczy wiosłować pełną ręką, szerokie obejmować horyzonty, a mając cel, omija męty życia, których trującem źródłem jest upowszechniająca się dzisiaj nuda duchowa.

Tak umiejętną dłonią wiedziona młodzież umie sobie zdawać ze wszystkiego sprawę, jest rozsądna, ale nie przeżyta w młodym wieku, jest rozważna, ale nie zimna i wyrachowana, jest towarzyska, ale nie próżna; jest zdolna do przyjaźni rzetelnej, która, jeśliby się poszło za zdaniem pesymisty, gdy ma być prawdziwą, to kwitnie jak aloes raz na sto lat; jest krzepka duchem i odporna, bez sentymentalizmu i ckliwości. które zazwyczaj są symptomatami próżni uczuć. Taka młodzież ma pewność siebie, bez próżności; nie zna chęci mszczenia się lub złośliwości, taka młodzież to nie balast społeczny, ale filary przyszłości.

Gaduła na śmierć się zagada i nic nie wskóra, podczas gdy rozsądny i małomówny wychowawca jednem spojrzeniem, ruchem, milczeniem zrobi więcej, niż taki młyn pedagogiczny przez tydzień wysiłków językowych. Ztąd bardzo znaczące są zdania: „zostań cichym, a możesz całą posiąść ziemię,“ lub inne:

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę,
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę!

Lakonizm starożytnych Spartan nie był rzeczą małą i hojnym w słowa dzisiejszym wychowawcom bardzo go zalecić należy. Słowem próżnem, lotnem, nieobmyślanem, nieuzasadnionem nic się nie zrobi: jest ono latarką, której błysk zimny ledwo trochę rozjaśnia; czyn i przykład skąpem poparty słowem jest słońcem, które wychowankowi jasno, stale, błogo świeci, a zarazem go ogrzewa, daje mu siłę, wzrost i życie.

Temu zatem drugiemu grzechowi pedagogicznemu wprost przeciwną, na drugim biegunie stojącą cnotą jest: słowa rozważne i skąpo wypowiadane, gdy o morał w nich zawarty chodzi.

POGAWĘDKA.

Według wierzeń ludowych i pewnych obserwatorów zmian powietrznych, dwaj święci Pańscy, Serwacy i Bonifacy, obdarzają rok rocznie nas chłodem. Niech, od pierwszych dni Maja począwszy, ciepłe promienie słońca ogrzewają ziemię; niech róże w całej pełni rozkwitną, w krzewach bzów i jaśminów odezwą się pieśni słowicze: nadejdą dni 13-ty i 14-ty Maja, wybrane przez kościół dla Serwacego i Bonifacego i słońce za chmury się skryje, wiatr wionie północny, wskazówka ciepłomierza o kilka stopni się obniży i człek się obejrzy za paltotem, albo westchnienie głębokie zwróci w stronę — lombardu, gdzie odzież cieplejsza na przechowanie przez czas wiosennego ciepła i letnich upałów poszła.

Prześliczne dni majowe, słoneczne, ciepłe, wonne i zielone, pochłodły nagle; niebo szare chmury okryły, a deszcz, przypominający niemiły *kapuśniaczek* jesienny, rosić ziemię zaczął, że przemokła do gruntu i w jedną kałużę brzydkiego błota się zmieniła.

Przyznaję się otwarcie do niewiadomości przyczyn tej zmiany nagłej — lecz mnie objaśnił w tym względzie stróż kamienicy, w której mieszkam.

— Tfu! jakie zimno! mruknąłem, zacierając ręce— —

— A dyć to dni świętego Serwacego, a jutro Bonifacego mamy—odpowiedział.

— I cóż ztąd?

Wytłomaczył przyczynę chłodu.

Szczerze mówiąc, dawane racye przez mego Konstantego, nie były zupełnie przekonywające. Winę całą zmian atmosferycznych składał na barki, Bogu ducha winnych, dwóch świętych Pańskich, bo gdyby zamiast ich imion, *stojało* w kalendarzu, naprzykład: Bartłomiej i Kunda— to aniby niebo tak zimnemi kroplami deszczu płakało, ani ludzie zacieraliby ręce od chłodu, aniby stróż mój poczciwy przekonywać mnie potrzebował, że wszystko to się dzieje przez Serwacego i Bonifacego.

— Tak je tera, tak było łońskiego rano, i tak na przyszłość będzie!

Nie prowadząc sam obserwacyi żadnych, musiałem się zgodzić na spostrzeżenia przez innych czynione. Niech więc dwaj święci, wyżej wymienieni, chłodem nas darzą, niech „na święty Wit, słowik cyt,“ a „od świętej Anki chłodne wieczory będą i poranki,“ ten chłód i ten deszczyk niemile na mnie oddziaływać zaczynają, bo się już zatęskniło za słońcem i za ciepłem, za zielenią i ptactwa pieśniami, za tem czarodziejskiem zawsze tchnieniem wiosennem, które w duszy człowieka sny budzi uśpione, łudzi marzeniami nowemi, każe oddychać szeroko, kochać szczerze i wierzyć, wierzyć w trwałość piękna, dobra i prawdy!

Bądź co bądź, Maj był zawsze i będzie czarodziejem, bo cóż się zrównać może z pięknością tej przecudnej zieleni, jaką się drzewa okrywają? jaki kwiat jest milej witany, niż fijołek skromny o woni nieporównanej, niż pachnące dzwonki konwalii białej, albo pierwszy narcyz, pojawiający się w dłoni kwiaciarki ulicznej.

To też przypatrzcie się przechodniom bez różnicy płci i wieku.

Nie dziw, że kobiety wyglądają jak kosze kwiatów prześlicznych, strojąc się w barwy majowe, w trawiaste suknie i woalki, w habry, pierwiosnki, w bzy i niezapominajki—ale i mężczyzni do klap swoich surdutów przypinają małe wiązanki wiosennego kwiecia, a chodniki przepełnione zapachem fijołków, a żywość kolorów strojów niewieścich, szczególnie ozdób kapeluszów oczy ci zaćmiewa. Raz wraz z pod ściany tej, to tej kamienicy wysuwa się ręka z wiązankami kwiatów; podawane bukieciki nikną szybko, jakby tajały w ręku sprzedającej,—i barwią się klapy męzkich surdutów, albo kupiony pęczek fijołków z rąk do rąk przechodzi, oczywiście z dłoni męzkiej do dłoni kobiecej.

Prawdziwe święto wiosny!

Szkoda tylko, że ręka kwiaciarki, podającej nam narcyzy i fijołki, bywa częstokroć zwiędła i sucha; szkoda, że kwiaciarka sama, nie z wesołym podbiega do nas ust uśmiechem, lecz twarzą wynędzniałą patrzy, błagalne oczy na nas podnosi, w których nieraz dostrzegasz łzy, ból i—głód!...

„Kwiaciarki“ tylko były dotąd znane na całym świecie — u nas wytwarza się typ kwiaciarza. Może to chłopię wesołe nieraz, częściej brudne i dokuczliwe, przez całą długość ulicy jęczące za tobą?

Nie.

Z pod muru wyciąga się ręka drżąca, podaje ci kwiat piękny a wonny—a jednocześnie cichy szept dolatuje do uszu twoich.

— Panie—dla dzieci!...

Niema serca tak kamiennego, któreby nie drgnęło na ten wyraz: dzieci!...

Zatrzymując się, podnosisz oczy — i wzrok twój spotyka się z zapadłą twarzą starca. Tak! o lata nie pytaj — nie one tylko mówią o starości. Bywa starość młoda i młodość stara, towarzyszką tej ostatniej jest—nędza!...

— Dzieci!...

Kupujesz kwiat, bo nie kupić nie możesz— — Ale jak on dziwnie w tej dłoni wychudłej wygląda, jakie od niej boleśne cienie padają na ten kwiat podawany tobie!... Rzucasz pieniądz i odchodzisz z sercem ściśniętem...

Daremnie wdzięczysz się, narcyzie piękny! daremną woń nęcącą rozlewasz, fijołku, w krąg siebie—zmalała piękność wasza, woń przygasła, na chwilę urok twój prysnął, o wiosno! przed tym obrazem niedoli, przed tym szeptem błagalnym o chleb—dla dzieci!... Wszędzie się łamią cienie i światła, wszędzie przeciwieństwa spotykają się z sobą, ale ten kwiat i ta ręka... okrutną ironią patrzą w twarz uśmiechniętych przechodniów.

Nie można Warszawy nazwać miastem bogaczy. A jednak, gdy przechodzisz ulice i rzucasz oczyma na karty u bram kamienic warszawskich wywieszone z wymienieniem cen mieszkań do wynajęcia: może ci się, na chwilę przynajmniej wydawać, że to gród Krezusów, że gdzieś w pobliżu są kopalnie złota, po które tylko ręką sięgnąć potrzeba.

Z przestrachem omijasz lokale, z sześciu, z czterech nawet pokojów złożone. Szukasz dwa, trzy najwięcej, choć myślą się kłopocesz, jak na przestrzeni jedenasto-łokciowej w kwadracie, podzielonej ścianami, zmieścisz się z rodziną swoją, nieraz z sześciu i więcej osób składającą się. Łóżka przy łóżkach, jak w szpitalu stać muszą, a gdzie choć skromny pokoik dla przyjęcia gości cię odwiedzających, gdzie stół jadalny postawisz, przy którym do obiadu czy wieczornej herbaty z rodziną zasiądziesz, gdzie wreszcie zaciszny kącik znajdziesz do pracy, tej jedynej żywicielki twojej i całej rodziny?

Nie! musisz znaleźć pokojów cztery, najmniej —cztery!

Przezierasz ceny lokalów— —

„Trzecie piętro—front, rs. 650...“

Albo:

„Czwarte piętro—rs. 560.“

Zachodzisz, choć wiesz może dobrze, że wymieniona summa nie na kieszeń jest twoją — ale cóż masz robić, gdy tańszych mieszkań niema:

Pokoje (czytaj: komórki) w amfiladzie, wejście jedno tuż koło drzwi kuchennych, to jest, że jesteś narażony na codzienny zapach cebuli i mięsa pieczonego. Ale niewygodny rozkład pokojów odstrasza ciebie — — Trudno! wiele ten czyni kto musi — szukasz lokalu o trzech — komórkach.

„Trzecie piętro...“

Oczywiście!... O parterze, pierwszem lub drugiem marzenia nawet niema...

„Trzecie piętro, pokojów trzy, wodociąg, zlew, cena roczna (bez wody) rs. 470...

Kto szuka dwóch lub trzech pokojów, mając rodzinę — ten w dostatkach nie opływa. Grosz każdy na codzienne potrzeby zarobić musi, a przecie nie zarabia tysiąców, lecz setki skromne...

Przeszedłeś jeden i drugi cyrkuł i wracasz zrozpaczony do domu.

Ale rajcowie znajdą się zawsze — —

— Ceny mieszkań— prawda! są niebywale wysokie, ale pod rogatkami Wolskiemi, na Lesznie, zresztą koło Żelaznej, za bardzo przystępną cenę można nawet cztery pokoiki znaleźć.

Nowina nie była nowiną... Mniejsza, że samemu ma się w śródmieściu zajęcie, nie pożałowałoby się nóg własnych, ale—mam chłopaka, mającego lat dziesięć nie spełna, chodzi do gimnazyum czwartego na Ujazdowską, albo do piątego na rogu Wilczej i Marszałkowskiej. Taki kurs, dla dziecka! — A zima, a zamieć śnieżna, a krótkość dnia i tak dalej i dalej...

Zaklęte koło!...

Musisz bliżej zakładu naukowego się przysunąć, zgodzić się na cenę żądaną, a w domu skurczyć się, oszczędność na żołądku zrobić i innych wymaganiach hygieny.

Jaka jest przyczyna tak niezmiernego podniesienia się cen lokalów?

Różne ku temu podają powody. Jedni mówią, że wpłynęło na to skanalizowanie domów, inni winę całą składają na podniesienie podatków, inni znowu na dwójnasób prawie zdrożenie cegły.

Bóg raczy wiedzieć, gdzie prawda; znalazłem jednak pewnego właściciela kamienicy, który, do nieprzyzwoitości prawie podniosłszy ceny lokalów, nie mówił nic o kanalizacyi, na podatki się nie skarżył, o cegle zapomniał, winę zaś całą przypisywał samym lokatorom.

— „Obejrzał pan trzy pokoje. Ciupki ale salonik z balkonem; na trzeciem piętrze, ale od frontu; cena 450 rs., ale za to jest dwa wejścia. Pan się krzywisz! I ja krzywiłbym się na miejscu pańskiem. Bo proszę pana, 450 rs. za trzy komórki, niskie, wąskie—toć to barbarzyństwo po prostu. Zaprotestuj pan — a zaraz ci wyjadę z balkonem, frontem i dwoma wejściami, jak gdybym na balkonie mógł sypiać, z frontu alpejskim widokiem się zachwycać, a dwoma wejściami półimperyały w gościnę zapraszać. Sumiennie mówiąc, lokal ten najwyżej wart jest 300 rs., lecz z jakiej racyi mam tracić półtorasta, gdy nie od pana, to od następnego zaraz gościa żądaną summę otrzymam? Gorsze lokale za tę samą cenę powynajmowałem a cóż ten, którego salon ma sufit w narzucane kwiaty gipsowe i balkon! Nikt sobie źle nie życzy—...Chcemy brać, wy chcecie dawać... Po co kłótnie? Nie dawajcie, a cieniej wam zaśpiewamy — — Przy dobrej woli, rada się znajdzie!

— Jaka? spytałem— —

— Strejk!...

Wypatrzyłem się— —

— Tak, panie kochany! — Są strejki mularzy, piekarzy, woźniców, robotników fabrycznych, dlaczegoby nie było strejku lokatorów?

Zaśmiałem się.

— Niema śmiechu — odpowiedział dziwnie szczery właściciel kamienicy.

— Zgoda na strejk—rzekłem, ale w takim wypadku chyba na ulicy namioty rozbić nam przyjdzie.

— Prześpijcie się choć raz pod gołem niebem, zysk przy was, a przy nas strata zostanie. Ale obawy niema—my sami nie dopuścimy do podobnego noclegu. Milszy nam grosz, niż wasza niewygoda. Postawcie się choć raz, a wtedy dopiero we znaki się nam dadzą: kanalizacya, cegła i podatki.

Dziwny właściciel kamienicy, podsuwający sam myśli o strejku lokatorów! Tego rodzaju zmowy zdaje się, że jeszcze nie było na kuli ziemskiej. Lecz jeżeli prawda jest, a doprawdy, że wątpić racyi nie widzę—to może są winni lokatorowie choć w części znacznej. Ale jak tu się porozumieć, jak wytrwać w postanowieniu? Na to potrzeba być... „nie polakiem,“ zły duch podszepnął.

Warszawa się rozrasta, domy stają na wszystkich ulicach, nie wyjmując najpierwszorzędniejszych. Po architekturze koszarowej, przyjęliśmy inną, nieodznaczającą się wprawdzie wybitnym stylem, ale bądź co bądź więcej niespodzianek dla oka mającą. Szczytowe ściany i dachów pokrycia wystrzelają wieżyczkami, to ostrzami kopuł, — ale prawdziwą ozdobą miasta będzie gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, około którego roboty mają się jeszcze rozpocząć w roku bieżącym, na placu Ewangelickim. Piękny, najpiękniejszy może w Warszawie całej, skwer zniknie, ale w śródmieściu nieznaleziono dogodniejszego placu na gmach muzealny, którego wzniesienie jak najszybsze staje się tem konieczniejsze, że Zarząd Resursy Obywatelskiej wymówił Towarzystwu obecnie zajmowany lokal od dn. 1 Października 1899 r.

Nowe pomieszczenie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych mieć będzie istotnie cechę pomnikową. Gmach zostanie wzniesiony z kamienia szydłowieckiego, bez tynku.

Rozmaite zajęcia nie dozwoliły mi wcześniej zwiedzić wystawy i napaść oczu prześlicznym obrazem Żmurki, zatytułowanym: „Gwiazda Betleemska.“ Kto szuka realizmu w tym obrazie, zawiedziony zostanie, kto poezyi—w morzu jej skąpać się może.

Noc—noc prześliczna, na rozjaśnionem niebie ziemi Judejskiej zabłysła gwiazda. Pasterze patrzą na gwiazdę cudowną, olśnieni jej blaskiem, zdumieni ciszą niezwykłą nocy tajemniczej, niezwykłym zjawiskiem zachwyceni. Nie są to jednak „pasterze“, jakbyśmy z brzmienia wyrazu sądzili. To postacie uduchownione przedziwnie, o twarzach miękkich, niewieścich, nieziemską aureolą oblane. Boskość świeci z nieba, boskość wieje z ziemi i patrzy z oblicza tych pasterzy Autor tak był przejęty wielkością chwili, że uduchownił w obrazie swym ludzi, niebo i ziemię. Za złe mu tego nie bierzemy, wprowadził nas w krainę wymarzoną, senną, ale tak cudownie piękną, że z żalem odchodzimy od wspaniałego, dzieła, a odchodzimy jacyś lepsi, podniesieni, bielsi i czystsi..

Komitet wystawy retrospektywnej nie zasypia raz podjętej sprawy. Roboty przygotowawcze postępują szybko, a coraz więcej nadpływa obrazów malarzy polskich dawnych.

Sale redutowe zmieniają swą postać. Wszędzie stosy obrazów, które lada chwila dadzą nam poznać całe bogactwo sztuki polskiej. Uporządkowaniem i umieszczeniem nadsyłanych obrazów zajmuje się specyalna delegacya złożona z artystów-malarzów i członków komitetu wystawy z prezesem, ks. rektorem Chełmickim na czele.

Niedługo sale wypełnią się—o tem nie wątpimy, liczną publicznością. Pociągnie ich cel wystawy: powiększenie funduszów towarzystwa przeciwżebraczego i chęć porównania z sobą dziś nieżyjących już artystów polskich.

Dotąd delegacya odbiorcza przyjęła płótna malarzy następujących: Matejki, Simlera, Bacciarelego, Brodowskiego, Baranowskiego, Czechowicza, Lampiego ojca i Lampiego syna, Brandta, Chlebowskiego, Gierymskiego, Gotlieba, Kotsisa, Pruszkowskiego, Podkowińskiego, Norblina, Lessera, Smuglewicza, Wańkowicza, Zaleskiego, Marszałkiewicza, Mullera, Grottgera i Szermentowskiego.

Nie za górami już i czasy ogórkowe, ale na brak rozrywek, zdaje się, że narzekać nie będziemy. Wyż wspomniana wystawa zajmie umysły poważniejsze, a i ogródki podwoje swoje otworzą, nie zbraknie też koncertów: w Dolinie Szwajcarskiej, Bagateli, Pod Gwiazdą a choćby w Krzaczkach i Sielance. Teatr lwowski już zjechał, przybędą inne i odezwie się „Cwir, cwir za kominem.“ „Jaś i Małgosia“ nie małą przynętą będą i „Małka Szwarcenkopf“ prawdopodobnie nie przestarzała.

Trochę tylko pochorowali się artyści Teatrów warszawskich, niektórzy urlopem się już cieszą, wiele sztuk więc cieszących się powodzeniem chwilowo musiało zejść z repertuaru. Choroba pana Leszczyńskiego dużą krzywdę wyrządziła „Almanzorowi,“ a zastąpić go trudno. Jest jednak nadzieja, że wody zagraniczne podziałają dobrze a szybko na zdrowie znakomitego artysty i powitamy go niebawem w przybytku sztuki naszej, powitamy głośnemi a szczeremi oklaskami.

??

Stanisław Nałęcz - Ostrowski.

Ideały niewieście poetek polskich

Studyum etyczno literackie.

(Dalszy ciąg).

Przypatrzmy się oto pierwszej postaci kobiecej, jaką spotykamy w utworach Gabryelli: jest nią „Maina“, dziewczę o duszy pełnej jakiegoś niewypowiedzianego smutku, nieckreślonej tęsknoty za czemś, czego życie ziemskie dać jej nie może. Nie zaznawszy jeszcze tego życia— czuje się już nieraz znużona, pełna ku niemu obojętności i litośnego pobłażania... Oto zastajemy ją wieczorem na grobie małego brata, któremu przyniosła „mleka, owocu i kwiatu“; wiatr wieczorny rozwiewa jej ciemne sploty, cisza w jakieś tęskne zamyślenie i w mistyczną zadu-

mę ducha jej wtrąca.. Ona „myśli puściła — i w kraj daleki, w kraj nieznany je posłała“... Matce, która niespokojna o nią przychodzi, by ją uwieść z mogiły do chaty, odpowiada:

„Matko! Masz jeszcze dwie inne córy,
Te ci rozniecą ogień wieczoru,
Te ci i bydło przypędzą z boru
I cienkie skręcą przędziwo...

Mnie pozwól, Matko, *błąkać się w góry*,
Dumać u brata *mogiły*,
Słuchać, co będą *duchy nuciły*,
I być *mem szczęściem* szczęśliwą!...“

Duchy zaczynają nucić... — zjawia się duch Kościej, który swemi podszeptami skłania dziewicę, by pozwoliła ukołysać się w jakiś stan uśpienia, w jakieś senne i błogie marzenie. Zostającą w tem zaklętem, marzycielskiem uśpieniu, Mainę budzić przychodzą młodzieńcy i dziewczęta, ale żaden głos ze świata, choćby obiecujący największe rozkosze i szczęście ziemskie, ożywić uśpionej nie może. Dopiero *na głos obowiązku*, na głos siostry, która jej przypomina, że „łańcuchem nieskończoności, *wspólnej pomocy i wspólnej miłości*, i ty, siostro, *z każdym cierpiącym bratem* jesteś *połączona*,“ budzić poczyna się uśpiona:

„I Maina była gotowa
Do *smutnego* wróci *życia*.“

Lecz starzec Niklot powstrzymał siostrę, chcącą dokończyć zaklęcia — mówiąc, że nie należy szczęśliwej „pogrążać w życia tego brudy“—ten tylko bowiem, kto „ma siłę i mądrość“ — niech idzie do ludzi koić bóle i leczyć rany, gdyż taki „nie zmęczy ręki, duszy nie zabrudzi“ pośród błota i znoju,—

„Lecz kto ma *serce tylko do czucia*, do pieśni,
Ten *niech całe życie prześni*,
Tego zostaw w pokoju.“

A pokojem tym — do którego radzi się schronić poetka *sercom czułym*—jest owo właśnie odosobnienie się i zamknięcie się w duchu—marzycielskie zatapianie się w rzeczach pozaświatowych, może rodzaj panteistycznego rozlania się, podścieliskiem którego—jak zauważa P. Chmielowski—było może pojęcie „nirwany,“ czego jednak poetka nie śmiała, lub nie chciała sformułować jasno.

Też same lub tym podobne pierwiastki tęsknoty nieokreślonej, smutku pełnego mgieł mistycznych, nadwrażliwej czułości i tkliwości do „kwiatka i rybki“ złożyły się na utworzenie duszy „Lilii.“ W obrazie „Lilii“ pragnęła poetka uzmysłowić pojęcie poezyi, jakie miała podówczas, *poezyi*—jako *marzenia*.

Obok tych jednak rozpływających się w mgle mistycyzmu i niepewnych rysów duszy niewieściej, znaleźć można w ówczesnych utworach Gabryelli kilka rysów wyrazistszych, jakby ostrzem dłuta w twardym pociągniętych marmurze: występują one częściej tam, gdzie poetka mówi o sobie samej. Tak np. w wierszu „Szczęście poety“ mówi, że „*twardsze* od twardych gromów ma *czoło*,“ że „kwiatka rozkosze, orła poloty zakuła w łono kamienia.“

„...Dziś pierś mam zimniejszą od śniegu,
Tylko, że pierś ta w sobie ukrywa
Tlejącą iskrę dawnych omamień,
Więc po raz trzeci jestem szczęśliwa—
Jestem *szczęśliwa—jak kamień*.“

W wierszu „Czemu mi smutno“ mówi poetka, że ją nie smucą dni pochmurne, bo „zdawna przywykła czekać, aż kiedyś słońce zajaśnieje;“ nie lęka się, aby nauka zabiła w niej nadzieję: — „och nie!... mnie nigdy ksiąg uczonych karty *świętego słowa* w sercu nie zaćmiły...“ Są to wszystko rysy duszy odpornej na bijącą w nią falę burzy, duszy wytrwałej i cierpliwej. Nie może jednak poetka kazać umilknąć cichszym i smutniejszym głosom, które w głębi jej serca się odzywają: smuci ją ów *błędny polot* dusz, miotanych jak wiatrem liść zwiędły, póki nie padnie „nad brzegiem jakiejś tam obcej mogiły...“ smuci ją oziębłość, egoizm ludzki, brak prawdziwej przyjaźni, smuci ją to,

„...Że tak wszyscy w różne chodzą strony,
Każdy ku swojej gwiazdzie obrócony —
Każdy *niedbały*, co na *drodze jego* —
Przepaść—czy kamień—czy serce bliźniego...“

Cicho, ale wyraźnie brzmi w tym wierszu— jako skarga — bolesna wrażliwość na potrącenia serca, idące zzewnątrz. Wszystko to smuci poetkę, choć stara się ona wpoić w nas przeciwne właśnie temu przekonanie... pomimo jednak jej zapewnień, nie możemy nie wierzyć tej nucie, która tak smętnie, choć cicho, brzmi pośród znajomych tonów, na męztwo sztuczne i obojętność nastrojonej duszy.

Tę pierwszą epokę umysłowego rozwoju Gabryeli cechuje także wiara jej w siłę demoniczną artyzmu, w wielki wpływ, jaki wywiera poezya na społeczeństwo. Myśl tę wyraziła w „Poganice,“ gdzie Aspazya jest prawdziwą artystką życia.

Twórczość ówczesną Gabryelli cechuje zamiłowanie w obrabianiu tematów ludowych w formie mocno nieraz przypominającej pierwsze ballady Mickiewicza. Jedną z takich postaci ludowych przedstawia nam np. w „Prządkach,“ gdzie Kasia, poślubiona staroście, spostrzegłszy na uczcie weselnej ukochanego niegdyś, a porzuconego później przez nią dla starosty Jaśka, idzie za pierwszym popędem młodego, niezepsutego serca i rzuca się w ramiona Jaśkowi:

„Ty mój Jaśku!... ty mój drogi!
Weź, starosto, szaty złote,
Odbierz wszystko, co twojego,
Ja mam tylko serce, cnotę,
Serce, cnota dla biednego
Serce, cnota Jaśka mego!...

Słowem, cały ówczesny pogląd Gabryelli na stosunek kobiety do życia streszcza się w tych oto kilku jej wierszach:

„...Snem *miłości, czucia, wiary*
Kochać, wie żyć, czuć bezmiary,
Być kochaną, umrzeć młodą...
Ludzie, ludzie, czyż nie wiecie,
Że to szczęściem jest na świecie?“

Doświadczenie życiowe, głębsze wglądnięcie w duszę i serce człowieka, wreszcie pierwsze prądy reakcyjne, jakie poczęły objawiać się w naszem społeczeństwie,— wszystko to nie pozostało bez widomego wpływu na kierunek twórczości Żmichowskiej i na jej pogląd na zadanie kobiety. Przekonywała się ona coraz wyraźniej, jak samobójczem niemal dla każdej jednostki a więc i dla kobiety jest owo *marzenie*, owo odosobnienie się duchowe, jakie przedtem utożsamiała z istotą poezyi, i teraz wierzyła jeszcze w potęgę poezyi, w jej uszlachetniający wpływ na jednostkę i społeczeństwo, ale widziała już jasno różnicę między poezyą, która rozmyśla, *tworzy*, a biernem rozmarzeniem, które jest gnuśnością ducha i niemocą. Odtąd więc głównem zadaniem poetki naszej będzie ciągłe usiłowanie, ujawniające się w życiu i w utworach, skierowane ku *wzmocnieniu woli*, która jedna jest dźwignią wszechmocną i jedynym środkiem ku wypełnianiu obowiązków. Idei tej poświęciła poetka cały szereg utworów, tworząc postacie o dodatnich lub ujemnych rysach charakteru. Jedną z takich postaci jest Biała Róża, kobieta hojnie uposażona wszelkiemi zaletami umysłu i serca, z duszą głęboko artystyczną i niepozbawioną szlachetnych popędów, ale przedstawiająca spotykany podówczas u nas często objaw zupełnego zaniku woli, braku wszelkiej energii, systematycznie niszczonej przepisami konwenansów i względami życia światowego. W „Książce pamiątek“ wystawia poetka wielkie i uświęcające znaczenie miłości, która jedna zbawia, leczy wszystkie bóle, wyszlachetnia wszelkie dążności. Życie rodzinne, na takiej pobudowane miłości, jest obrazem najprawdziwszego i największego szczęścia na ziemi.. lecz biada temu, kto się zaprze lub wyrzecze w życiu prawdziwej miłości dla względów postronnych!... Jako przykład takiej „zaprzeczonej miłości,“ jako namiętny protest przeciw przymusowi w wyborze towarzysza dozgonnego, wyprowadza przed nami poetka Annę-Klarę, która życiem przypłaca owo zaprzeczenie miłości.

Rozkosze macierzyństwa i obowiązki, jakie ta miłość na matkę względem dzieci wkłada, niejednokrotnie znajdowały wyraz w utworach Gabryelli każdego okresu jej twórczości. Piękny przykład miłości macierzyńskiej widzimy w jednym z najwcześniejszych utworów w postaci Matki Mainy, miłości, która nie cofa się przed żadnemi niebezpieczeństwami, byle tylko pocieszyć i uszczęśliwić ukochaną córkę. W przypuszczeniu, że tęskni ona za dalekim kochankiem Matka tak do niej mówi:

„Powiedz, ja *pójdę śmiało*,
Kędy nasze wojowniki
Dzielnych mężów wiodą szyki,
Po zwycięztwo, *na stracenie*;
Choćby *tysiąc strzał świszczało*,
Choćby ciekły *krwi strumienie*,
Ja ci lubego przywiodę...“

I w nagrodę takiego poświęcenia pragnie tylko, aby córka jej była wesołą i szczęśliwą... Później, na widok uśpionej w czarodziejskiem zaklęciu córki, „krzyknęła—na ziemię padła“ i zawołała na nią „tym głosem duszy, co nawet dzikie zwierzęta wzruszy, tym *wielkim głasem, co go wlały bogi tylko w piersi kobiety — tylko w piersi matki*...“ Następnie w tejże pieśni przez usta Krassy, siostry uśpionej Mainy, poetka śpiewa hymn na cześć macierzyństwa:

„Być matką! siostro, natura dokoła
W wieczystej pieśni na kobietę woła:
Być matką!... Pytaj—matki ci powiedzą,
Co przy kolebkach śpiących dziatek siedzą,
Jaka to roskosz kochać swoje dziecię,
Jego uśmiechem, życiem żyć na świecie...
Widzieć, jak ono słabe, i wątłe, i biedne:
Nigdzie nie ma przytułku, nigdzie pożywienia,
Jak jedno łono matki, piersi matki jedne.
Ach! to najczystsze szczęście, to rozkosz prawdziwa...“

Względem ukochanego mężczyzny powinna podnosić go z upadku, oświecać duszę jego czystością niepokalaną własnej duszy... Któż nie zna pięknego wiersza Gebryelli, w którym tak mówi poetka o kobiecie:

„Raz mi mówiono, że są tu na ziemi
Białe Anioły z skrzydłami białemi,
Które gdy wezmą w *poświęcone dłonie*
Serce człowieeze, to je drogą świata
Ponad kałuże, błota i przepaści
Niosą bezpieczne, czyste, nieskalane,
Promieniem Bożej myśli rozjaśnione
I tchnieniem Bożej miłości ogrzane.„

Sam Bóg wyznacza kobiecie to wysokie posłannictwo względem ducha mężczyzny; posłannictwo, które spełnić może tylko wielka i głęboka miłość... O tej świętej, podniosłej miłości tak mówi dalej poetka.

„*Miłość kobiety—to ręka podana*
W chwili złych myśli i pokus szatana;
To wzięte wszystkie z *głębi twojej duszy*
Chęci szalone, żądze niespokojne,
I namiętności nasiona zdradliwe.“

A więc miłość szlachetnej kobiety usuwa z duszy mężczyzny wszystkie złe i nizkie żądze, dając mu wzamian najczystsze rozkosze; wszystkie jego niepokoje i szały uśmierza ciszą świętą i boskim spokojem czystej duszy swojej... daje mu spokój — i wesele — i wypoczynek duchowy— i świętość swojej własnej duszy.

Pięknym jest obraz miłości matki w „Lilii.“ Matka, zajęta pracą, pozostawiła córeczkę w łódce na jeziorze, by lekka fala ukołysała dziecię do snu. Nagle powstaje burza, gwałtowna fala zrywa łódkę z uwięzi i goni ją na środek jeziora. Zrozpaczona matka, bezsilna na drugiej stronie jeziora, błaga ze łzami czarnoksiężnika, by dziecię jej uratował, — i gdy ten z ocalonem dziecięciem do brzegu przybywa, matka „porywa je w objęcia, pieści, całuje i ściska, i sercem serca blizka, słucha czy to serce bije?“ i przekonawszy się, że dziecko jej żyje, „ona we łzach, drżąca, blada, przed obcym człowiekiem na kolana pada i błogosławi jemu...“

W trzeciej pieśni „Gęślarza“ mówi poetka:

„.....Ach! matka syna,
Nim przyjdzie na świat, kochać zaczyna,
I w życiu całem, po wszystkie drogi
Gdzie on się zbłąka—tkliwa pośpieszy
Z otwartem sercem, z dobrem życzeniem;
W szczęściu go sławi—w smutku go cieszy...“

Codziennie gorące szle modły za syna do Boga:

„A *modła Matki skuteczną* bywa
Wśród wszelkich modlitw na świecie...“

Całą swoją mądrość życiową, zdobytą z ducha mozołem wśród ciągłych starć i walk sił umysłowych i moralnych, pragnęłaby Gabryella przelać w serca „ukochanych dziewczynek,“ podać im gotowemi te cenne perły uczucia i myśli, wyłowione z głębi swojej własnej duszy. W wierszu więc, zatytułowanym „Do moich dziewczynek,“ przestrzega je przed fałszem i ułudą świata, naucza obowiązków, wskazuje, gdzie jest szczęście w życiu prawdziwe. Przedewszystkiem chce wdrożyć w nie myśl, że piękność zewnętrzna jest nietrwała i niepowinna być wysoko cenioną.“ Piękne są — powiada —perły i klejnoty, piękniejsze jednak nad nie jest w swej świeżości przyrodzenie; od piękna przyrody większą jest piękność urody dziewiczej; *najpiękniejszym* jednak ze wszystkiego na świecie jest *dobry uczynek.*“ Następnie pragnie dodać im otuchy na drogę żywota i uzbroić przeciw wszelkim bólom, trwogom i cierpieniom, gdyż „na każdą troskę pociecha dana,“ każe zaś wystrzegać się najbardziej *wyrzutu sumienia*, który jest *ze wszystkich nieszczęść najgorszy.* Każdy grzech przez skruchę i żal serdeczny można zagładzić, „jeden bowiem poczciwy stu złych nagrodzi, a za grzech własny jest pokora!...

„Jest do *poświęceń* chęć bardzo skora,
Jest *pobłażanie* drugim cierpliwsze,
I są *pokorne* prace gorliwsze...“

Mówi dalej poetka, że nieraz i grzech może przydać się na coś, „tylko się nigdy nie przyda na nic dumnego serca *pycha* bez granic...“ Wszechprzebaczająca, ogarniająca w swoje ramiona świat cały *miłość* gładzi wszystkie winy:

„...Wszystkie łzy, wszystkie grzechy
Zbiera i święci Anioł pociechy,
Ten *anioł we śnie nawet nie stanie*
Przy takim, który *kochać przestanie...*“

Wielkiem jest szczęściem na świecie *miłość* ku ukochanemu, jaka czeka każdą z dziewczynek w życiu; większem jednak od tej osobistej miłości jest ukochanie „ludu całego“ i „z pracą wszystkich—wszystkich zbawienie!...“

Sercom młodym na drogę życiową, jako broń najskuteczniejszą w walce, chciałaby dać poetka „wiarę niczem niewzruszoną, niezdradzoną miłość, śmiech pogardliwy z próżności tego świata, pobłażanie dla win i słabości ludzkich i wreszcie modlitwę, co ulata ku Niebu w złej doli.“

Nosiła więc Gabryella w swej duszy postać idealną kobiety o sercu czułem i wrażliwem na wszystko co dobre, szlachetne i piękne, o umyśle na przyjęcie wrażeń estetycznych otwartym, posiadającej takie cnoty wysokie, jak miłość ku bliźnim i społeczeństwu, pokorę prawdziwie chrześcijańską, poczucie obowiązku i gorliwe jego wypełnianie, wierność i miłość małżeńską i macierzyńską, cierpliwość, wyrozumiałość. Do najwyższej jednak skali moralnej, jako pierwszorzędne zalety charakteru, podnosi poetka *prawdę* i *szczerość* uczucia i myśli, prawdę, która w przeciwstawieniu do wszelkiej obłudy wielkoświatowej, fałszu i hipokryzyi, cechować powinna życie kobiety w stosunku do rodziny, społeczeństwa i Boga. Cnoty te winna kobieta ciągle w sobie kształcić, rozwijać i doskonalić, ku czemu nieodzownym warunkiem i jedynym środkiem jest silna, w należytym kierunku popchnięta *wola.* Ideałowi takiemu odpowiedzieć może kobieta tylko wówczas, jeżeli wyrobi w sobie *samodzielność*, jeśli nie z konwenansów towarzyskich zapożyczy sobie uczuć i myśli, do których zechce stosować swe postępowanie, lecz jeśli mieć będzie swoje własne, szczere, z serca płynące uczucia, przez siebie samą urobione przekonania, którym wierną pozostanie w życiu;—jestto ostatnie słowo utworów Gabryelli, testament duchowy poetki, który pozostawić pragnęła młodemu, dorastającemu pokoleniu kobiet. Walcząc przez całe życie w obronie idei *prawdy moralnej i samodzielności* kobiet, pozostała jej wierną do śmierci...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Na pustkowiu.

Odsunięty od świata stoi dąb prastary,
I z majestatem dumy i ze skrą pogardy
Potrząsa stuletnimi, rosłymi konary,
Nieugięty, wyniosły, ponury i hardy,
Wśród liści jego drzemią tysiączne rozgwary
I złowrogich, posępnych szmerów miliardy:
To się budzą i szepcą jakąś skargę smętną
To bezdennej rozpaczy ślą w dal pieśń namiętną

Jak rozhukane, dziecię, rozpętane źrebię,
Drżą w gałęziach dębowych straszne huragany,—
A na pogodnem, czystem, lazurowem niebie,
Skrzy i płonie gwiazd złotych hufiec nieprzejrzany,
I pełny krąg miesiąca zwolna się kolebie;
Wszędy spokój, harmonia i czar lśni różany,
Tylko dąb na pustkowiu drży w osamotnieniu,
W mgieł koronkę spowity i zasnuty w cieniu.

Kiedy wiosenne słońce za lasów powierzchnię
Tarcz swą kryje i cicho żegna ziemię senną,
I gdy po jego zgonie na świecie się zmierzchnie:
Dąb się ciszą otacza głuchą i bezdenną,
I każdy szept w nim kona, każdy szmer zeń pierzchnie,
W gałęziach coś zapada martwotą kamienną,
I jak w ciężkim, podniosłym i poważnym tumie,
Olbrzym się w uroczystej pogrąża zadumie.

A gdy jesień już kwiatów powarzy kielichy,
Wiatr go do snu kołysze, nucąc pieśń miłosną,
W akord hymnów uderza i w ton smutku cichy,
I kantylenę naraz zawodzi żałosną,
A dąb strojny w powagę i majestat Psychy,
Wzdycha, gorzkie łzy roniąc za minioną wiosną,
Na swe życie wspomina nędzne i tułacze
I z bezkresnej rozpaczy łka i liśćmi płacze.

Józef Wiśniowski.

Jasło.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-ch częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

II.

Na drugi dzień z rana, pan Jan spotkawszy się z Magdzią, rzekł z uśmiechem:

— Coraz to nowe przymioty odkrywam w tobie, Magdziu; dobrze o tem wiedziałem zawsze, żeś odważna, przekonałem się niedawno, ale żeś takim głębokim statystą, tegom się nie spodziewał...

— A prawda żeś dobrze wyszedł, słuchając mię? - rzekła Magdzia, kładąc mu rączkę na ramieniu.—Pamiętaj, że odtąd we wszystkiem być mi posłusznym.

— Będę siostrzyczko. Tylko zdaje mi się, że są rzeczy, na które nawet ty, ze swą polityką nie poradzisz.

— No, no, zdaj się na mnie a wszystko będzie dobrze.

Pan Jan coraz więcej pozyskiwał względy kasztelanowej; kazała mu ona teraz jechać przy kolasce i w rozmowie wypytywała dalej o owe ruiny ukrainne, o których tyle opowiadano dziwów oraz nieprawdopodobnych gadek i o których każdy marzył, by je choć raz w życiu obaczyć.

Wszystkie słuchały z ciekawością gdy opowiadał o niezmierzonych stepach; Magdzia wzrosła, wśród wód sandomierskich, nie mogła pojąć, żeby istniała na świecie kraina, gdzie na mil kilkadziesiąt, jak oko wejrzy, ani jednego drewka nie widzi.

— Mój Boże, co za dziwny kraj! — powtarzała.

— Nie tylko dziwny ale i piękny,—rzekł pan Jan.—Choć nie ma lasów, ale za to trawa jak las, że człowiek z łatwością może się w niej schować, a w burzanach nawet jeździć ze spisą. Dopiero gdy wiatr pójdzie po onych trawach i bodiakach, to tak się zda, jakoby woda na jeziorze się kołysała i słychać tylko jakiś żałosny szum a poświst. Na wiosnę taka moc kwiatów i ziela różnego kwitnie, że myślałbyś iż kto kobierce drogie rozesłał. Czasem nasze chorągwie szły, ginąc wśród tych traw wysokich i przez kilka dni niespotykały ludzkiej siedziby. Często tylko widywaliśmy tabuny dzikich koni, i węże ogromne, zwane połozami, uciekały nam z pod nóg, a orły stepowe ważyły się nad głowami, czekając, by koń w której chorągwi padł w pochodzie, wtedy go odrazu rozszarpywały. Nieraz to już nas tęskność ogarniała i czekaliśmy rychło li ujrzymy jar, w których zazwyczaj leżą wioski tamtejsze i futory. Ale ludzie w nich są dzicy zupełnie; najwięcej osiada tam hultai, zbiegłych od kary, lub też chłopów z naszych województw, którzy uciekli od swoich panów i zdziczeli w onej pustyni, gdzie człek ani jednego dnia swego życia niepewny.

Kasztelanowa słuchała i coraz nowe zadawała pytania a pan Jan opowiadał różne przygody, jakie miewał w owych dzikich stronach,—i tak im czas zeszedł, że nie spostrzegli się, jak dojechali do pierwszego popasu. Ewa także, choć zrazu siliła się aby okazać twarz obojętną, słuchała jednak z wielkiem zajęciem, przyczem mimowoli, ukradkiem spozierała na opowiadającego. Jakkolwiek kierowała się na zakonnicę, była ona córką i wnuczką rycerzy i niemogła być obojętną na dzielność i inne męzkie zalety, które widniały tak w spojrzeniu jak i całej jego postaci. Musiała też przyznać, że w opowiada-

niach swoich nigdy się nie chwalił ani nie starał siebie wysuwać na pierwszy plan; mówił zarówno ze skromnością jak z życiem i z zapałem.

Biedna Ewa wyrzucała to sobie później jako grzech wielki i sidła szatańskie; postanowiła też sobie w ciągu dalszej podróży, nie słuchać ani nawet nie patrzeć w tę stronę, z której jechał pan Jan.

Nazajutrz. po południu miano już stanąć w Jodłowie. W tych stronach niedawno właśnie przeszły oddziały wojsk Maksymiliana, pozostawiając po sobie okropne spustoszenie. Miejscami spotykać można było ludzi wybladłych i wygłodzonych, lub też domostwa na wpół spalone i zniszczone.

Ewa wraz z Magdzią patrzyły na to z żalem; parę razy kasztelanowa kazała zatrzymać kolasę, rozdając wsparcie nieszczęśliwym biedakom, stojącym przy drodze.

— Ciociu, to już niedaleko od Jodłowa, rzekła Ewa, muszę kazać tu posłać zboża i mąki, by ci biedni ludzie przynajmniej głodu nie cierpieli.

— Owszem, moje dziecko,—odrzekła kasztelanowa,—ale ileż to jeszcze zgłodniałych zostanie. Okropna to rzecz—wojna...

— O, tak, ciociu,—rzekła Ewa.—Nie spodziewałam się dotąd, że są ludzie zdolni własny swój kraj, własny lud krzywdzić i niszczyć, jak wrogi!

Nagle, obróciwszy się, spostrzegła, że pan Jan usłyszawszy jej słowa, czuł się niemi dotknięty:

— Waćpanna, — rzekł drżącym nieco głosem,—na wszystkich, bez różnicy, rzucasz kamień potępienia. Wszakże nikt nie pobudza do gwałtów najemne żołdactwo, które zresztę także częstokroć z głodu dopuszcza się owych bezprawi. A jeżeli nawet są tacy, co przez swawolę to czynią, to nie mieszaj że ich waćpanna z innymi, którzyby może nieraz za cenę krwi własnej chcieliby niedopuścić do tego, lecz nie są wszechmocni. Nie przeczę ja, że wojna jest rzeczą okropną, lecz często bywa konieczną...

— Ale nie domowa wojna,—przerwała Ewa.

— A cóżbyś waćpanna powiedziała o tych wojnach religijnych, które Francyę całą krwią zlały? Tam przecież bracia stają przeciw braciom...

— Tak,—ale tam jedna strona przynajmniej broni wiary katolickiej, której całości zagraża herezya, rzekła Ewa.

— Więc waćpanna nie chcesz tego dopuścić,—zawołał pan Jan,—że każdy człowiek może wyznawać taką religię, jaką uważa za najlepszą i że nie mamy prawa ani go potępiać ani mu tego zabraniać?

Ewa nie odpowiedziała; zarumieniła się tylko mocno i odwróciła głowę, jakby już dłużej z nim mówić nie chciała; spojrzenie jednak, które na niego rzuciła, jasno wyrażało jej oburzenie.

Wreszcie zdaleka ukazał się stary, modrzewiowy dwór jodłowski, otoczony wysokiemi lipami, z których najstarsze tworzyły wspaniałą ulicę wjazdową. Wały, które go otaczały dawniej, pousuwały się już miejscami i porosły krzewami; wszystko dokoła wyglądało dość smutnie, jak zwykle w miejscu niezamieszkałem. Dwór był wielki, wspaniały niegdyś, lecz dziś opuszczony, bo podstarości wcale niedbał o podtrzymywanie go.

— O, ciociu, jakże tu smutno teraz!—zawołała Ewa, oglądając się.

Pan Jan zbliżył się tymczasem i rzekł, odkrywając głowę:

— Muszę już pożegnać waszmość panie.

— Cóż to, chcesz nas waćpan porzucić? — zapytała kasztelanowa.—A jakże będziemy powracać same?

— Nie, pani kasztelanowo,—moi dragoni mają rozkaz rozkwaterować się tu w okolicy, a gdy waćpanie będziecie wracały, mogę je znów przeprowadzić przynajmniej część drogi.

— A, jeśli tak, to musisz waćpan przyjąć gościnność u nas w Jodłowie,—rzekła kasztelanowa.—Bardzo proszę a nawet żądam tego!

— Radbym być posłusznym waszmość pani, ale służba mi nie pozwala...

— Co tam służba, to tylko wymówka;—ja nie słucham, tylko proszę do dworu, i koniec!

Pan Jan spojrzał na Ewę, lecz była odwróconą w inną stronę, tak, że twarzy jej nie widział.

— Obawiam się być natrętnym,—rzekł wreszcie.—Może obecność moja nie będzie miłą dla pani domu...

— O, jeżeli to do mnie waćpan stosujesz,—rzekła Ewa, obracając się,—to uprzedzam go, że zrzekłam się wszelkich obowiązków pani domu, na rzecz cioci, i nic się do tego nie mieszam. Możesz więc waćpan nie zwracać na mnie żadnej uwagi...

— A ja, wchodząc w obowiązki owe, powtarzam moją prośbę, a raczej rozkaz,—rzekła kasztelanowa, nie zważając, że pan Jan zarumienił się, dotknięty słowami Ewy.

Chciał się jeszcze wymawiać, lecz Magdzia przerwała mu ze śmiechem:

— Janku, daj pokój, z ciocią nic nie poradzisz! Wszystko tak być musi, jak ona chce; wszak na jej rozkaz nawet armaty z drogi ustępują, a tybyś nie miał ustąpić!

— Tak, tak,—rzekła kasztelanowa,—nie słucham żadnych wymówek i rozkazuję waćpanu natychmiast spełnić moją wolę.

— W każdym razie muszę wpierw zająć się rozmieszczeniem moich ludzi, i nakazać im, by się zachowywali spokojnie.

— Dobrze, ale śpiesz się, bo będziemy czekały,—rzekła kasztelanowa.

Pan Jan ukłonił się i zaciął konia, by dopędzić swoich dragonów.

Przed gankiem czekało już kilkoro sług starych, witając kasztelanową, i obie młode dziewczęta; nadbiegł i podstarości z miną wielce zmieszaną.

Wewnątrz dom był bardziej jeszcze ponury, niż na zewnątrz; stare makaty, gdzie niegdzie poodrywane od ścian, zczerniałe sufity z resztkami malowań i złotych ozdób, świadczących o świetniejszej przeszłości. W dużej sali okrągłej wisiał szereg portretów, z ram patrzyły twarze antenatów, sztywne, martwe, z nieruchomemi, wielkiemi oczyma.

Ewa chodziła smutnie zamyślona po komnatach, w których spędziła lata dziecinne; obok starej babki, przypominając sobie jak nieraz o zmroku bała się tych oczu przodków, ścigających ją swemi spojrzeniami. Pokój podkomorzyny stał zamknięty i nic się w nim niezmieniło od czasu jej śmierci. Powietrze wiało martwą pustką i chłodem i Ewa cofnęła się zrazu, gdy stanęła w progu.

Uklękła przy pustem łożu i zaczęła się modlić; w oczach jej stanęła wyraźnie chwila owa, gdy była obecną przy śmierci babki i gdy klęczała w tem samem miejscu, mając w duszy poczucie, że już nie ma nikogo na świecie, ktoby ją kochał i przytulił. Teraz zmieniło się jej życie: w około siebie widzi tylko życzliwe twarze i serca przywiązane—i doznała głębokiej wdzięczności dla Boga za ten promyk słońca, który nagle oświecił jej sieroce życie. Poczęła w myśli odsuwać jak najdalej ów kres ostateczny, to jest klasztor, bo jej żal było świata.

Gdy wyszła z komnaty, wyraz jej twarzy był poważny i skupiony, w duszy jednak czuła jakąś jasność, która świeciła przez jej oczy,—gdzieś przed sobą, w niedojrzanej dali, zdawała się dostrzegać światełko, przepowiadające jutrznię różową.

Zastała Magdzię i kasztelanową w komnacie. Po drugiej stronie, gdzie już płonął wesoły ogień na kominie, rozjaśniając zczerniałe obicia. Służba krzątała się koło zastawienia wieczerzy, kasztelanowa siedziała przy ogniu a Magdzia chodziła od okna do okna, niecierpliwiąc się, czemu pan Jan nie powraca. Ewa tymczasem wzięła niski stołeczek i usiadła u nóg kasztelanowej, która po macierzyńsku gładząc jej złociste włosy, poczęła rozmawiać z nią półgłosem.

Wkrótce nadszedł pan Jan i stanąwszy w progu, patrzył na wdzięczny obrazek, jaki przedstawiały matrona wraz z dziewczęciem. Ale Magdzia natychmiast przystąpiła do niego, aby go wyłajać za opóźnienie, zaczął się więc tłomaczyć, że obowiązki służbowe go zatrzymały. Zresztą tego wieczora był jakiś nie swój i Magdzia żartowała z niego, że musiał mu chyba zająć drogę przebieżeć, kiedy tak spochmurniał.

Nazajutrz zaraz kasztelanowa zajęła się sprawami majątkowemi. postanowiła oddalić niesumiennego podstarościego a na jego miejscu zostawić Piątkiewicza, starego sługę, który już lat dwadzieścia wiernie służył w rodzinie Herburtów.

Przez ten czas młodzi byli zostawieni sami sobie i Magdzia miała nadzieję, że jakoś uda jej się zbliżyć do siebie Ewcię i brata; lecz wszystkie jej starania do niczego dotąd nie doprowadziły.

— Co ja z nimi pocznę, ciotuchno? — mówiła do kasztelanowej. — Jak tylko się oboje zejdą, zaraz się kłócą. Nie, ja tego tak nie zostawię. Cóż to znowu! Niech tylko zejdą się,—patrzaj, w pół godziny już sobie coś powiedzieli; już pan Jan, z brwią ściągniętą, oddalił się ku oknu, a panna Ewa, z obojętnością królowej, bawi się kłębuszkiem, jakby o niczem nie wiedziała. Nie, ja na to nie pozwolę,—muszę dziś porządnie wyłajać Janka za te sprzeczki!

I z tem silnem postanowieniem udała się na poszukiwanie pana Jana. Zastała go chodzącego samotnie po sali, jak mówiła „z brwią ściągniętą,“ snać niemiłe jakieś myśli zajmowały go w tej chwili, bo gryzł wąsa i wyglądał ponury jak noc.

Stanęła przed nim, nic nie mówiąc i patrząc mu w oczy z powagą rzymskiej matrony.

Pan Jan zatrzymał się i rzekł, zmuszając się do uśmiechu:

— Cóż to panna Magdalena ma tak uroczystą minę?

— Teraz nie pora do żartów, — odrzekła poważnie Magdzia. — Przyszłam tu, aby powiedzieć panu porucznikowi, że od pewnego czasu stał się tak nieznośnym, że z nim wytrzymać nie można.

— No, cóż tam znów nowego?—rzekł pan Jan niechętnie

— Udawaj, udawaj, że nic nie rozumiesz. A cóż znaczą owe nieustanne sprzeczki z Ewcią? Czy pan porucznik o tem nie wie, że ona jest moją siostrą cioteczną i że kocham ją jak rodzoną,—z czego wypada, że i ty powinieneś kochać ją, a nie kłócić się z nią wiecznie.

— Ależ siostrzyczko, — rzekł pan Jan, jakoś nagle ułagodzony,—zupełnie nic nie mam przeciw temu, ale cóż poradzę kiedy z każdym dniem przekonywam się, że panna Ewa żywi ku mnie jakąś nieprzezwyciężoną niechęć...

— Już ja w to zupełnie nie wchodzę,—rzekła Magdzia,—do ciebie należy niechęć tę usunąć, i jestem pewną, że gdybyś chciał, dopiąłbyś tego. Mogłeś się podobać cioci, tak, że teraz jesteś u niej w większych łaskach jak Ignaś a nawet wczoraj powiedziała ci „moje dziecko,“ to cóż ci trudnego postarać się, by cię Ewcia lubiła Tylko naturalnie, jeżeli będziesz bronił heretyków w jej obecności, to bądź pewny, że nic nie zrobisz.

— A—tak—prawda, że pobożność klasztorna tem się gorszy,—rzekł pan Jan z ironią.

— Proszę tylko niemówić tym tonem, bo nietylko Ewcia, ale i ja gniewać się będę,—zawołała Magdzia.

— Daruj siostrzyczko, — rzekł pan Jan,—ale choćbyście mię miały ukamienować, będę zawsze bronił innowierców gdyż... jest między nimi bardzo wielu zacnych ludzi...

— Cicho bądź!—zawołała Magdzia, zasłaniając mu usta.—Ciekawam zkąd ci się to wzięło—nigdyś dawniej nie miłował tak bardzo innowierców...

Pan Jan chciał coś odpowiedzieć ale nagle się wstrzymał i tylko pobladł, jak zwykle teraz, gdy przyszedł mu na pamięć ojciec. Magdzia patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc—i rzekła po chwili:

— Szczęście jeszcze, że cię Ewcia nie słyszała,—byłbyś już na wieki zgubiony w jej oczach.

— A niech licho weźmie te wszystkie klasztorne nauki, które tylko w głowach przewracają!—zawołał pan Jan, zrywając się i zaczynając chodzić gwałtownie po sali. — Wszyscy ludzie, co inaczej myślą uważani są za strasznych przestępców, na których się spogląda z pobożną zgrozą, uczyniwszy wpierw znak krzyża, jak od złego ducha!

— Widzę, że cię już dawne powietrze zaleciało, — rzekła Magdzia. — Myślałam, że mam przed sobą mojego brata, Janka, przed paru dniami odzyskanego, aż tu stoi przedemną jakiś dziki Zborowczyk, srogi dragon, który klnie, gniewa się,—a gdy mu co powiedzieć rzuca się jak koń wichrowaty, aż mię strach zbiera. Ej, lepiej ucieknę!

I zrobiła ruch, jakby w istocie uciec chciała,—ale pan Jan zatrzymał ją.

— Zostań jeszcze, moja Magduś, — rzekł z prośbą.—Nie będę się już gniewał, ani rzucał daję ci słowo—ale przyznaj sama, że może gniewać, jeżeli za jedno słowo, wyrzeczone bez namysłu, patrzą na ciebie jak na wilka, gotowego pożreć niewinne owieczki. Cóż u licha! nie jestem przecie żadnym zbójcą ani zbrodniarzem, żeby taką zgrozę budzić! Żadna hańba, ani gwałt na mnie nie ciąży,—za cóż więc popadłem w taką niełaskę?

— Ty sam lepiej odemnie powinieneś to wiedzieć,—rzekła Magdzia. — Pomyśl o tem w samotności, a ja muszę iść do cioci, która mię wzywa.

To rzekłszy, wyfrunęła z pokoju.

Ale za drzwiami uśmiechnęła się do siebie, mówiąc w duchu:

— Czekajże, panie poruczniku, dobrze, że już znam twoja słabą stroną! Weźmiemy cię teraz w obroty obie z Ewcią, weźmiemy! Uchodzimy cię tak, że będziesz łagodny jak baranek!

Przez cały dzień była bardzo wesołą, śmiała się wciąż, ściskała Ewę i dokazywała tak, że aż kasztelanowa uwagę zwróciła:

— Co tej dziewczynie się dziś stało, że się tak rozfiglowała!

— O, ciotuchno, — mówiła Magdzia, całując ją w rękę, — ze mnie łotr wielki, różne psoty chodzą mi po głowie,—i teraz mam jedną w myśli, ale jeszcze cioci nie powiem, bo to tajemnica.

— A, to ładnie,—rzekła kasztelanowa, grożąc jej,—masz już tajemnicę przed ciotką.

— O, — rzekła Magdzia, — przysięgam ciotuchnie, że w tem niema nic złego i ciocia sama chyba będzie rada temu, ale niech ciotuchna mi pozwoli jeszcze milczeć do jakiegoś czasu, dokąd owej psoty nie urządzę,—moja złota cioteczko!

— Oj, trzpiot z ciebie,—rzekła kasztelanowa z uśmiechem. — No, no, już ja nie będę się mieszać do niczego.

Magdzia, jak to sama przyznawała, była upartą; gdy raz sobie postanowiła cośkolwiek, już wytrwale dążyła do celu. Niezaniedbywała ona także pracować nad Ewą, by zwalczyć jej uprzedzenia do pana Jana, ale z taką zręcznością, że trudno się było domyśleć, iż jej o to idzie.

— Co się temu Jankowi stało teraz, że jest taki nieznośny,— mówiła do Ewy, po sprzeczce z panem Janem. — Nigdy nie był dawniej takim...

Ewa ruszyła tylko ramionami, chcąc okazać, że jej to zupełnie obojętne.

— Ja wiem, że ty go nie lubisz,—ciągnęła dalej Magdzia, — ale znoś go jeszcze czas jakiś przez miłość dla mnie. Bo widzisz, — dodała, siadając przy niej i obejmując ją wpół, myśmy się razem chowali, jak rodzeni, i on był zawsze lepszym dla mnie od Ignasia więc go i teraz jeszcze miłuję, choć jest taki nic dobrego. A kto tam wie, kiedy go znów obaczę; kiedy był na Rusi, to raz jeden tylko mógł przybyć do domu a i to na krótko, a potem tatuńcio się rozgniewał, więc także tylko ukradkiem mogliśmy się widywać,—tymczasem mówią, że będzie wojna i niewiadomo co się stać może. Ty niemasz braci! to nie wiesz ile to zawsze z nimi troski, nie tylko wtedy, gdy pójdą na wojnę, ale tak, codzień. Ignaś lubi wszędzie i zawsze głowę nadstawiać, jakby ją miał na stracenie; wiecznie się z kimś pokłóci, porąbie i tylko patrzeć jak kiedy spotka go jako bieda. Janek to niby nie taki, a jednak ze dwa lata temu omal nie poległ w pojedynku o jakiegoś przyjaciela, czy tam już niewiem o co, bo nigdy nie mogłam od niego się dopytać, o co im poszło. Wiem tylko, żem się wtedy dość napłakała, choć gdy do nas doszła wiadomość, już wszelkie niebezpieczeństwo minęło i Janek niebawem sam nam doniósł o tem. Tak to z chłopcami,—nigdy z nimi nie ma spokoju; wiecznie muszą coś zbroić.

Ewa słuchała ją w milczeniu, ale z twarzy jej nic nie można było odgadnąć,—przy końcu jednak westchnęła, mówiąc:

— Szczęśliwaś, że masz braci, ja sama jestem na świecie...

— Ładnie tak mówić, Ewciu,—przerwała Magdzia.—Jakto sama? A my wszyscy, którzy cię kochamy?

— Daruj mi Magdziu,—rzekła Ewa, tuląc głowę do jej piersi, ale mnie czasem tak jakoś smutno się robi na duszy, że sama niewiem co się ze mną dzieje.,.

— Cóż to się tobie stało,—wszak dotąd było ci z nami wesoło,—prawda?

— To dopiero od paru dni; sama nawet nie wiem zkąd mi to przyszło...

To mówiąc, Ewa ukryła twarz zalaną łzami na ramieniu Magdzi.

— Ot, wiesz co, nie idź ty do klasztoru, tylko zostań z nami,—rzekła Magdzia.

Ewa potrząsnęła głową.

— Nie,—odparła z mocą, — słowo raz dane Bogu musi być dotrzymane.

— Aleś ty przecie ślubów nie składała! — zawołała Magdzia.

— To nic, alem w duszy zrobiła postanowienie,—odparła Ewa cicho.

W nocy Magdzia, która spała z nią w jednym pokoju, słyszała jak wzdychała a nazajutrz wstała tak blada, że aż kasztelanowa zwróciła na to uwagę. Dotąd mało zajmowała się młodzieżą, mając na głowie sprawy majątkowe, ale dziś, ponieważ jej zostawało trochę więcej czasu, posiedziała dłużej w sali, gdzie się zwykle schodzili wszyscy po południu i była świadkiem sprzeczki między Ewą a panem Janem.

— Waćpan mi darujesz, ale ja się nie znam na polityce i nie mogę tego zrozumieć,—mówiła Ewa.—Zawszem słyszała, że ci, którzy walczą przeciwko własnemu królowi i rodakom nazwani są wichrzycielami i nie umiem czynić żadnych wykluczeń.

— Tak, waćpanna potępiasz wszystkich ryczałtem, jako na sądzie ostatecznym, — odrzekł pan Jan.—Nie dopuszczasz żadnych przyczyn, któreby łagodziły winę,—choć te nawet w trybunałach przyjmują...

— Nie, ale dość mi widzieć i słyszeć, aby wydać sąd,—odrzekła Ewa spokojnie.

— Więc jeśli tak, to dość jednego słowa, by wyrok był nieodwołalny? — rzekł pan Jan głosem napozór chłodnym, choć przelotny przebłysk jego czarnych oczu zdradzał wzburzenie wewnętrzne.

— Nie mylisz się waszmość, — odrzekła Ewa niewzruszona.

Spokój jej jeszcze bardziej drażnił pana Jana; kasztelanowa zaś, patrząc z boku na nich oboje, uśmiechała się wciąż.

— Oj, dzieci, dzieci,—rzekła wreszcie, jakby do siebie.—Ale widzę, że Magdzia prawdę rzekła, że skoro się zejdziecie, to zaraz zaczynacie się sprzeczać.

— Ja się ciociu wcale nie sprzeczam,—odrzekła Ewa. — Powiedziałam tylko co myślę, nie spodziewając się, że to wywoła w kimkolwiek tak silną urazę...

— Ale ja zupełnie nie zostałem urażony słowami waćpanny, — rzekł pan Jan, choć jego wzrok błyszczący mocno zaprzeczał temu. — Przecież wolno każdemu wyrazić swoje zdanie; tylko już dziwne moje szczęście, że nigdy i w niczem jednakiego zdania mieć nie możemy z waćpanną...

— Mocno żałuję, ale poradzić na to nie mogę,—odrzekła Ewa wyniośle, kierując się ku drzwiom. W drodze spotkała się z Magdzią, która była wyszła przed chwilą; ta poznała odrazu, że już znów sprzeczka nastąpiła, bo pan Jan z twarzą pochmurną stał we framudze okna, spoglądając na srożącą się śnieżycę. To też natychmiast po odejściu Ewy, przystąpiła do niego i rzekła poważnie:

— A, widzę, widzę jak starasz się wszelkiemi siłami przypodobać Ewci, i bardzo ci jestem wdzięczną za to. Jak to miło mieć tak uprzejmego brata!

Pan Jan milczał, nie odwracając nawet wzroku od okna.

— Tak, bardzo to jest miło, — ciągnęła dalej nielitościwie Magdzia,—szczególnie gdy pracujesz nad tem, by brat twój jak najlepiej się wydał. Nieskończenie, niezmiernie dziękuję panu porucznikowi za jego uprzejmość, zgodność oraz inne zalety, których w nim dotąd dość nie admirowałam.

To rzekłszy, dygnęła przed nim niziutko.

— Magdziu, zlituj się, choć ty mnie nie dręcz, — zawołał pan Jan prawie z rozpaczą. Myślałem, że ty przynajmniej masz dla mnie współczucie! Magdzi żal się go zrobiło, ale nie zdradziła tego wcale, uważając, że surowość jest jeszcze potrzebną do pewnego czasu. Rzekła więc z jednaką powagą:

— Współczucie dla waćpana? Zastanów się, czyś na to zasłużył, stając się z każdym dniem nieznośniejszym, tak że wcale nie dziwuję się Ewci, że czuje niechęć do ciebie...

— Nie, tego już nadto! — zawołał, porwawszy się. Jeżeli tak jestem nieznośny dla wszystkich, to wolę pójść ztąd!

To mówiąc, skłonił się kasztelanowej i wybiegł z sali.

— Magdziu, co tam już zaszło nowego?—spytała kasztelanowa.

— To nic, ciotuchno, — odrzekła Magdzia ze śmiechem,—tylko zanadto trochę przeciągnęłam cugle i rumak się wspiął i poniósł; ale niech ciocia będzie spokojna, — dziś jeszcze powróci nam ugłaskany i łagodny jak baranek—ja go znam!

— Więc ty tak już umiesz ich trzymać? — rzekła kasztelanowa z uśmiechem. Zuch dziewczyna z ciebie!

— Oho, cóżby z nich było, gdyby ich nie trzymać! — rzekła Magdzia, przybierając rezolutną minkę i potrząsając głową.

Kasztelanowa, spotkawszy niedługo potem Ewę, rzekła jej półżartem:

— Ewko, przestań ty już dokuczać temu biednemu chłopcu, bo go doprowadzasz do rozpaczy.

— Ja, ciociu?—odrzekła Ewa, jakby nie rozumiejąc. Nie wiedziałam wcale, że wszystko co powiem, bierze zaraz do siebie...

— Ej, Ewka, nie udawaj, bo ja słyszałam waszą dzisiejszą rozmowę. Chłopak się mienił cały, gdyś mu dogadywała o Zborowczykach i wichrzycielach,—aż mnie go żal było...

— Niechże go ciocia tak bardzo nie żałuje, — odparła Ewa ze wzgardliwą minką;—kto nie czuje sam, że zasłużył na podobne zarzuty, ten ich tak do serca nie przyjmuje.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY
TEOFILA LENARTOWICZA
do Eli (Izabelli)
(od 1871—1893 r.).

(Dalszy ciąg).

XII.

Florencya 22—12—85.

Najłaskawsza Pani! Za życzliwe słowo Bóg zapłać, oby jej *augures* choć w części się spełniły; trudno przecież łudzić się nadzieją i zresztą w wieku, w którym powiędłe leżą gdzieś na kupie gnoju, jak kwiaty balowe, nadzieje, niegdyś pełne woni i uroku,— osobiście nie mam się czego spodziewać i nie spodziewam, nieosobiście wszystkiego. Bo przecie musi być jakiś ład, jakiś porządek w planach stworzenia, jakaś sprawiedliwość, od której wszechharmonia zależy; nie prędko się ona rozwija, życie pokoleń przemyka w nędzy i ucisku, zanim przyjdzie piękna pogoda, objaśniająca dla czego było to albo owo, i wtedy się pokaże, że niezupełnie bez racyi powiedział filozof (chociaż Niemiec): „was ist, alles ist vernunftig.“ Przyjdzie to, przyjdzie, ale ileż to razy ziemia obiegnie około słońca, nim się to stanie, i gdzie się podzieją prochy, które dziś służą za chałupkę, w której rodzą się myśli i bije serce szarpane tylu a tylu cierpieniami. Fiat voluntas Tua.

Dobra moja, czcigodna Pani, dziękuję za wszystko, a szczególniej za przekonanie, że jednakowe ożywiają nas i utrzymują przy życiu uczucia,—tak dziś mało jest istot potrzebujących podobnych związków, iż zdaje się, że świat się rozpada na atomy, z których powstał, i że każdy atom zamiast zbliżać się dla uformowania jednej wielkiej całości, kręci się koło siebie samego, sam sobie „sterem, żeglarzem, okrętem— to samoluby,“

Rok ten przeszedł mi, dzięki Bogu, w pracy, i pomimo żem chorował na bronchitę, która mnie przez kilka miesięcy męczyła, napsułem dużo papieru, który w innych czasach możeby znalazł przyjazne uczucie, dziś służy jedynie na to, co niegdyś Bogusławskiemu, na pociechę własnego serca i nadzieję:

Że chociaż głód dojmuje,
Lecz duszy on nie szkodzi,
Śpiewaniem biedę truję,
Wesołość troski słodzi.

Tomik jakiś wykładów bolońskich po włosku, listy obszerne do Włochów, czasem po trzy i cztery arkusze, „Lilia, zapiski z moich czasów,“ a nadto w glinie grupa „Stargane struny harfy,“ która, jak powiadają, dość się udała. Widzisz więc, najłaskawsza Pani, że stary dziad 63-letni rusza się jeszcze i nie poddaje zupełnie.

Od p. Julii miałem list serdeczny jak nigdy, powiada ona: „bien de voeux pour votre chère Pologne, ma patrie d'adoption.“ Dobra kobieta, pełna taktu, matka poczciwa, pracowita i odważna na życie—będę dziś do niej pisał,

W listach Narcyzy, a mianowicie do brata z pierwszych lat, jest bardzo wiele i głębokich i pięknych prawd; często je odczytuję z żalem, że jej bliżej nie znałem, ani mnie ona; ileż tam zaparcia się siebie, jakie ciche zabijanie bólów.

Adieu, najzacniejsza Pani, przyjmij wyrazy najgłębszej czci i przyjaźni

od nieznajomego współziomka
Teofila.

XIII.

Florencya d. 24—12—86.

Najłaskawsza Pani!

Najserdeczniej dziękuję za Jej łaskawą o mnie pamięć i życzenia, za które nawzajem Jej życzę więcej jak sobie, bo osobiście żadnych nie pozwalam sobie stawiać prócz zdrowia, choćby na rok jeszcze potrzebnego do kończenia prac pozaczynanych, do przepisania z nieczytelnych karteczek i złożenia jakiejś całości, któraby świadczyła, że każda myśl moja, każde uderzenie serca zwrócone było ku tej najukochańszej, o której poeta śpiewa, że jest jak zdrowie.

Wiersz piękny nieznajomego autora, którego treść jak najzupełniej podzielam, przeczytałem; smutno, a no cóż robić? Do czary naszych bólów potrzeba było i tej jeszcze kropli; wypijmy i to, nie tracąc wiary w przyszłość, choćby z tej jednej pewności wychodząc, że nic stałego pod słońcem i że po burzach jak w naturze, tak i w dziejach pogoda następuje.

Pani Julia pisała mi, że komunikując się z najzacniejszą Panią, doniosła jej o mojej książeczce włoskiej, Wiadomo więc jest czcigodnej Pani, że pracuję jak mogę, nie pretendując do żadnego uznania.

Wiadomość o życzliwym pismom moim uczniu uniwersytetu, bardzo mi była przyjemną; jeśli się jeden znalazł, może się kiedy znajdzie i drugi.

Zdrowie moje liche bardzo, i smutno tu i samotnie, z rodaków prawie nikogo nie widuję (bo ich i nie ma), a pomiędzy Włochami stosunki blizkie, przyjazne, prawie są niemożebne,—sami oni pomiędzy sobą nie żyją także bliżej.

Wojna przewidywana zajmuje tu wszystkie umysły. Minister oświadczył w parlamencie, że są gotowi na wszelki przypadek.

Co to będzie? co to będzie? każdy stawia pytanie, na które nikt odpowiedzieć nie może.

Żeby tylko śród gromu dział nie poformowały się osobne obozy proletaryatu, który to Deus ex machina mógłby, jeśliby się części regularnej armii do niego przyłączyły, narobić wielkiego kłopotu i panom i nie panom świata.

Raz jeszcze dziękuję najzacniejszej Pani za list i poezyę i polecam się Jej najzacniejszemu sercu.

T. Lenartowicz.

XIV.

Florencya, 20—12—87.

Podzielam żal czcigodnej Pani z powodu zgonu ś. p. Bibianny Moraczewskiej. Bohdana Zaleskiego, Kraszewskiego, Gillera, Bibianny, tylu, tylu innych zabrał nam ten rok, najokrutniejszy ze wszystkich, jakie w życiu pamiętam.

Śmierć Ordona głębokie na mnie wywarła wrażenie, żyłem z nim i na dzień przed tem go widziałem.

Józef Kraszewski tak okropnie cierpiał, że już mu życzyłem śmierci, byle spokojnej. Bentkowskiego zgon i tylu innych, których ten okrutny rok wypędził z koła żyjących. Dziś nie mam się o kogo obrócić — z kraju najfatalniejsze o upadku wiadomości, demoralizacya i śmiech ze wszystkiego, — z literatami z nikim nie mam osobistej znajomości — zawiści pełno — za co? i z czego oszaleć, droga Pani!

Zmiłuj się Boże nad nami — pracuję i patrzę z goryczą na te roboty, które dawniej obudziłyby zapał... dziś... a no, trudno, idźmy dalej. Żebym miał życzliwych w kraju, wątpię, pomimo zapewnień — kto mnie zna i całę przepaść bólów jakąm ja przemierzył, — oni mnie mają tam za kościelnego dziada. Ach! jakże mnie nie znają. Bóg Ci nagrodzi, droga Pani, ten uścisk ręki który mi przesyłasz, — horoskopów nie stawiam żadnych—ciemno.

Z przyjezdnych nikt nie zajrzy do Bolonii na nowe odczyty, kiedy ja się wybiorę,—trzeba wiedzieć, ile trucizny i ztąd od naszych wypiłem. Wypracowałem mnóstwo rzeczy, dalibóg, nie złych, ale gdzie drukować i na co się zdało, kiedy dziś drwią ze wszystkiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Senat rządzący wyjaśnił, że dzieci kupców 1 gildyi - żydów, przemieszkujących po za obrębem granic osiadłości, mają prawo mieszkać we wszystkich miejscowościach Cesarstwa i dokonywać tamże operacyj handlowych, na mocy pełnomocnictw i świadectw handlowych, wydanych przez ich ojców.

— Ministerym finansów ponownie zaleciło izbom skarbowym, ażeby nie wypuszczały zupełnie w obieg banknotów jednorublowych i pięciorublowych, a ograniczyły, o ile się da, wypuszczanie banknotów trzy-rublowych i dziesięcio-rublowych.

— W ciągu roku bieżącego komisya redakcyjna do opracowania kodeksu cywilnego, zamierza podać do rozważenia odnośnych instytucyj opracowany przez nią projekt własności literackiej, muzycznej i w ogóle artystycznej, czyli tak zwanego prawa autorskiego. Projekt powyższy wprowadza znaczne ulepszenia przepisów w tym przedmiocie. Pomiędzy innemi, projekt daje autorom dzieł wydanych w Rossyi wyłącznie w ciągu lat 10, prawo do tłómaczenia ich dzieł; prawo to przez obecne ustawy nie jest uznawane.

— Departament medyczny wyjaśnił, iż do szkół dentystycznych nie mogą być przyjmowani wolni słuchacze, z prawem otrzymania po ukończeniu kursu nauk świadectw, potrzebnych do egzaminu na stopień dentysty, —a także eksterni, obecnie dopuszczani do egzaminów, nadających im prawa jednakowe z prawami uczniów kończących kurs szkolny.

— JE. biskup saratowski ks. Zerr, z powodu nadwątlonego zdrowia, wniósł podanie o uwolnienie go od obowiązków zwierzchnika dyecezyi.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 11 T. II, powieści, p. t. ***Masarenowie***, przez Ouidę. Przekład Z. S.

Treść: **Grzechy pedagogiczne.** Studya z natury, przez Janinę S. Aleksotę. II.—**Pogawędka**, przez ??—Stanisław Nałęcz-Ostrowski. **Ideały niewieście poetek polskich.** Studyum etyczno-literackie (dalszy ciąg). — **Na pustkowiu**, przez Józefa Wiśniowskiego. — **Bezkrólewie**, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg).—**Listy Teofila Lenartowicza** do Eli (Izabelli) (od 1871—1893 r.) (dalszy ciąg).—**Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: ***Masarenowie***, powieść, przez Ouidę, arkusz 11 T. II. Przekład Z. S.—Przegląd mód. 35 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycye obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg
Дозволено Цензурою.—Варшава, 6 Мая 1898 г.